

Babcia na jabłoni

Piąta edycja Przeglądu Nowego Teatru dla Dzieci we Wrocławskim Teatrze Lalek została otwarta z przytupem, w perkusyjnych rytmach widowiskowej „Babci na Jabłoni”. Jak się okazało – właśnie aspekt sensoryczny, nie refleksyjny, stanowił największą wartość tego spektaklu. Czy jednak jedyną?

Reżyser Jarosław Kilian, znany z docenianego przedstawienia „Co krokodyl jada na obiad”, tym razem stworzył spektakl na motywach książki austriackiej pisarki Miry Lobe, czyli tytułowej „Babci na Jabłoni”. To urokliwa opowieść o chłopcu, który tak bardzo marzy o posiadaniu swojej babci, że zaczyna kreować ją we własnej głowie. Z czasem odkrywa, że spełnienie tego pragnienia jest znacznie bliższe i zupełnie osiągalne... Warto wspomnieć, że do polskiej wersji ilustracje stworzył Mirosław Pokora, dodając jej tym samym radosnego klimatu dziecięcych fantazji.

Taki też czar unosił się nad samym przedstawieniem, dzięki barwnej scenografii Weroniki Karwowskiej. Nie inspirowała się ona bezpośrednio książkowymi ilustracjami, ale w równie pomysłowy sposób udało jej się wprowadzić widza w świat widziany oczami dziecka. Spójna kolorystyka oraz przyciągające wzrok wzory i kształty pobudzają wyobraźnię i uatrakcyjniają treść. Wyjątkowo udane rozwiązania, takie jak krzesła grające rolę koni czy też kanapa będąca samochodem, jeszcze bardziej podkreślają, że dla młodego umysłu każdy, najzwyklejszy przedmiot, można bez trudu przemienić w obiekt ze snów czy marzeń.

Jak jednak ma się do tego treść sztuki sama w sobie?

Na początku przedstawienia poznajemy rodzinę głównego bohatera, w której każda postać ma wyraźnie zarysowany charakter, podkreślany w sposób komiczny.

Wspólny posiłek, dzięki konsekwentnie powtarzającej się w kolejnych scenach oprawie muzycznej i wizualno-ruchowej, otrzymuje tu rangę przekoloryzowanego rytuału. Podczas niego właśnie dowiadujemy się, że chłopiec nie posiada babci, co wnet postanawia zmienić i tak jak w książce, stwarza własną, wymyśloną.

Babcia jest – jak sama mówi – lekkomyślna, nie boi się jeść kwaśnych jabłek i w kieszeni zawsze trzyma nieoczekiwane prezenty, takie jak bilety do wesołego miasteczka czy też gumę do żucia. Pozwala robić to, co zakazane, i stanowi „najlepszy sposób na smutki i kłopoty”.

Pierwsza połowa spektaklu przedstawia głównie perypetie małego Andiego, który z wyimaginowaną Babcią przemierza bezkresną krainę własnej wyobraźni. Sceny te nie pchają fabuły do przodu, zdają się być specjalnie przedłużane, by móc pokazać więcej efektów specjalnych. Co chwilę zaskakują nas dymy, ciekły azot, nieoczekiwane dźwięki i nowe elementy scenografii. Wizualizacje dopełniają całości, ulepszając tę i tak już rozbudowaną przestrzeń. Nie można także zapomnieć o muzyce, która grana na żywo przez Bartka Miarka i Michała Boceka perfekcyjnie dopasowuje się do ruchów aktorów i uderza, dosłownie, w punkt.

Nie mogę ukryć, że całość ogląda się bardzo przyjemnie, brak tu jednak konkretnej treści, która ukrywać by się mogła pod grubą warstwą mocno działających na zmysły bodźców.

Dopiero w drugiej części przedstawienia odczułam posunięcie akcji do przodu, które nastąpiło wraz z wkroczeniem na scenę kolejnej bohaterki – starszej Pani, nowej sąsiadki Andiego, która swoją statycznością i otaczającą ją stonowaną kolorystyką wprowadza przyjemny kontrast do żywiołowego przebiegu spektaklu.

To dzięki niej chłopiec zaczyna zauważać, jak łatwo marzenia mogą się ziścić – wystarczy, że dostrzeżemy to, co jest bardzo blisko nas.

Wciąż jednak trudno jest mi docenić w pełni przekaz spektaklu. Podczas oglądania często odnosiłam wrażenie, że jest on formą bardzo zbliżony do musicalu. Ciekawe układy

choreograficzne i wpadające w ucho melodie piosenek zapadają w pamięć bardziej niż to, co mogłyby nieść ze sobą.

Momenty, które uważam za najciekawsze również nie przekazywały wiele więcej niż to, co można zobaczyć i usłyszeć. Jako przykład podam wspaniałe, psychodeliczne dyktando mamy Andiego oraz fenomenalny popis chłopca podczas gry na „obiadowej perkusji” – garnkach, talerzach i patelniach.

Nie możemy jednak zapomnieć, że najważniejsze jest zdanie głównej grupy odbiorców spektaklu, czyli dzieci (w wieku powyżej 5 lat). Myślę, że dzięki wyrazistym ruchom i mocno działającej na zmysły oprawie wizualno-muzycznej „Babcia na jabłoni” na długo pozostanie w ich głowach. Młodych widzów rozpierała pozytywna energia, momentami sami mieli ochotę wstać i pobiec w wesołych podskokach, dokładnie tak, jak czynił to Andi. Może nie wniesie to wiele głębi do ich kształtującego się światopoglądu, ale może przynajmniej częściej pomyślą o swojej babci i dostrzegą jaskrawe barwy tam, gdzie wcześniej widziały nudną szarość?

Mocne odczuwanie przeze mnie przerostu formy nad treścią wynika zapewne z miłości do książki Miry Lobe, którą wiele razy czytałam w dzieciństwie i wciąż zachwycało mnie w niej bogate przesłanie ukazane w skromny sposób.

Podsumowując – spektakl bez wątpienia jest uczcą dla oczu i uszu, po której warto jednak sięgnąć po wspomnianą wcześniej książkę, by na deser zakosztować czegoś także dla naszej duszy.